

# Pogłoność jasna i agenci

13 maja 2024

ładny interes! Ledwo wyjechałem na pięć dni w sentymentalną podróż na Litwę i Łotwę, a już w naszym nieszczęśliwym kraju wybuchła istna sodomia i gomoria.

Jeszcze nie zdążyłem na dobre poddać się sentymentom, a już światem wstrząsnął dreszcz oburzenia na wieść, że jakiś 16-latek rzucił koktailem Mołotowa w kierunku warszawskiej synagogi.

Oczywiście policja natychmiast go złapała, dając tym samym dowód swojej wyjątkowej sprawności i wiarygodności, co natychmiast nasunęło mi podejrzenia, że z jakichś zagadkowych powodów ów młody człowiek zwyczajnie został wynajęty, z taką oto instrukcją: wiecie, rozumiecie, młodzieńcze. Macie tu koktail Mołotowa. Rzućcie nim w stronę synagogi – ale tak, żeby nikomu nic się nie stało. My was zaraz złapiemy, ale nic się nie bójcie, bo w naszym fachu nie ma strachu.

Oczywiście trzęsący się z oburzenia świat nie miał już głowy do zajmowania się ostatecznym rozwiązaniem kwestii palestyńskiej w Rafah w Strefie Gazy, więc gabinet wojenny bezcennego Izraela mógł bezpiecznie podjąć decyzję o kontynuowaniu operacji ostatecznego rozwiązania, mimo groźnego kiwania palcem w bucie przez amerykańskiego twardziela, prezydenta Józia Bidena, który teraz musi podlizywać się wszystkim dookoła, żeby go znowu wybrali na prezydenta.

Aby jednak i on nie stracił prestiżu, to znaczy – żeby nie wyglądało, iż premier Netanjahu olewa go ciepłym moczem, dał on na użytek amerykańskich twardzieli przedstawienie, że prawicowi ekstremiści, co to uczestniczą w wojennym gabinecie jedności narodowej, postawili go pod ścianą, odgrażając się, że w razie odstąpienia od ostatecznego rozwiązania wyrócą mu rząd o góry nogami. Na takie dictum prezydent Biden przestał

grozić palcem w bucie, bo i on wie i my wiemy, że gdyby dzisiaj w bezcennym Izraelu rozleciał się rząd jedności narodowej, to następnego dnia świat by się zawalił, do czego miłujące pokój Stany Zjednoczone w żadnym wypadku dopuścić nie mogą. Tedy niech w tej całej Gazie dzieje się, co chce, bo przecież nie ma takiego poświęcenia, którego nie można by ponieść dla ratowania pokoju światowego.

A tymczasem powoli nadszedł dzień Świętego Floriana, w którym swoje święto obchodzą straże pożarne. Z tej okazji podniosłe przemówienie pod adresem strażaków, a pana komendanta w szczególności wygłosił kandydujący do Parlamentu Europejskiego minister spraw wewnętrznych, pan Marcin Kierwiński.

Zaraz na mieście pojawiły się fałszywe pogłoski, jakoby pan minister Kierwiński był narąbany, jak autobus, że aż plątał mu się język. Najwyraźniej jednak pan minister musiał być o możliwości pojawienia się fałszywych pogłosek zawczasu poinformowany, bo ledwo tylko zakończył swoje płomienne przemówienie, zaraz udał się na komendę rejonową policji, żeby go przebadano alkomatem, a kiedy to się stało, triumfalnie pokazał opinii publicznej dowód swojej trzeźwości, zapowiadając jednocześnie, że każdego, kto będzie wspomniane fałszywe pogłoski powtarzał, zaciągnie przed niezawisły sąd, który z takim zuchwałcem zrobi porządek.

Żeby jednak jakoś wyjaśnić pewne zagadkowe nieprawidłowości w przemówieniu, ogłoszono, że ich przyczyną była pogłośność. Myślę, że to wyjaśnienie na dobre zagości w naszym politycznym wokabularzu, ale gwoźli nadania mu charakteru poważnego, to znaczy – medycznego, dobrze byłoby ową pogłośność opatrzyć przymiotnikiem, na przykład – pogłośność jasna.

Skoro może być pomroczość jasna, na którą – jak pamiętamy – zapadł w swoim czasie syn Kukuńka, to dlaczego mielibyśmy sobie żałować jasnej pogłośności? Taka pogłośność może trafiać nawet najzacniejsze głowy, podobnie jak choroba filipińska, która w swoim czasie rzuciła się – ale nie na głowę, ani nawet

na szyję, tylko na goleń – panu prezydentowi Aleksandrowi Kwaśniewskiemu.

Cała Polska ze współczuciem oglądała katusze, jakie z tego tytułu przechodził na cmentarzu w Charkowie, więc jeśli ktoś nie chciałby wierzyć w pogłośność jasną, to zaraz wracze stwierdzą u niego sławną schizofrenię bezobjawową, a niezawisłe sądy nakażą takiego niedowiarka umieścić w politizolatorze.

Jeszcze nie ucichły echa odkrycia nowej jednostki chorobowej w postaci pogłośności jasnej, a tu się okazało, że sędzia Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, pan Tomasz Szymdt, akurat przebywający na urlopie, pojechał na Białoruś, gdzie poprosił o azyl polityczny. Zaraz niezależne media głównego nurtu przypomniały, że pan sędzia Szymdt, działając wspólnie i w porozumieniu ze swoją ówczesną małżonką, uczestniczył w tak zwanej, aferze hejterskiej, która polegała na odkrywaniu rozmaitym niezawisłym sędziom różnych wstydliwych zakątków.

Podobno małżonka pana sędziego zorientowała się, że, odkrywając wstydlive zakątki, źle się bawi i nie tylko zaprzestała hejterstwa swego, ale nawet przeskoczyła na jasną stronę Mocy, niczym w swoim czasie pan mecenas Giertych i podobnie jak i on, przepoczwarzyła się w tak zwaną sygnalistkę.

Konkretnie polegało to na tym, że nadal odkrywała wstydlive zakątki, tylko komu innemu i z innych pozycji. Dla pana sędziego Szymdta musiało to być przeżycie traumatyczne do tego stopnia, że nie tylko rozstał się z żoną, ale – jak już wspominałem – wyjechał na Białoruś, gdzie poprosił o azyl.

Wkrótce jednak sentymentalno-prywatniacki wątek sprawy pana sędziego Szymdta został wyparty przez wątek wywiadowczy. Tajniacy z ABW zaczęli gorączkowo sprawdzać, co też taki niezawisły sędzia, jak, dajmy na to, pan Szymdt, mógł

wiedzieć, to znaczy – czy wszedł w posiadanie jakichś tajemnic państwowych, które następnie mógłby przekazać złowrogemu Aleksandrowi Łukaszence.

Jeśli nawet i wszedł, to nigdy się o tym nie dowiemy, a to z uwagi na tajemniczy charakter tych tajemnic. Jeśli o mnie chodzi, to stawiam na to, iż pan sędzia Szmydt mógł się dowiedzieć, którzy sędziowie są konfidentami, zwerbowanymi jeszcze przez Wojskowe Służby Informacyjne, a którzy zostali zwerbowani przez ABW w ramach tzw. Operacji „Temida”. Na podejrzenie, że coś może być na rzeczy, naprowadza nas okoliczność, iż nagle został uruchomiony ostatni szef Wojskowych Służb Informacyjnych, których, jak wiadomo, od 2006 roku już „nie ma”, pan generał Marek Dukaczewski.

Pan generał pochodzi z porządnej, ubeckiej rodziny i nawet przeszedł stosowne przeszkolenie w Moskwie, ale – jak wyjaśnił – właśnie dzięki temu przeszkoleniu amerykańscy bezpieczniacy uznali go za swoją umiłowaną duszeńkę, podobnie jak kiedyś generała Reinhardta Gehlena, który u Hitlera kierował formacją Fremde Heere Ost, co się wykłada: Obce Armie Wschód. Wygląda na to, że nikt tak nie będzie służył demokracji, jak szubrawcy, czy to hitlerowscy, czy to komunistyczni.

Toteż i pan generał Dukaczewski zaraz powinność swej służby zrozumiał i oświadczył, że jego zdaniem pan sędzia Tomasz Szmydt musiał być agentem. Ładny interes!

Autorstwo: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: [Goniec.net](http://Goniec.net)